Rozmaitości

Dnia 2. Marca N^er. 9. 1827 roku.

PRZYPADKI OSTATNIEGO AWANSERAŻA.

(Ciąg dalszy.)

Don Karlos sam pozostał ze swoją siostrą Blanką i rzekł do niéj: »Wyznaj! dla czego widok cudzoziemca tego sprawia ci niespokojność?« — »Bracie!« odpowiedziała Blanka »kocham Aben-Hameta, a gdy zechce zostać chrześcijaninem, oddam mu rękę moję.« — »Jako?« krzyknął Don Karlos »kochasz Aben-Hameta! Córka Biwarów kocha Maura, niewiernego, nieprzyjaciela, wygnańca z tych pałaców!« — »Don Karłosie« odpowiedziała Blanka, »kocham Aben-Hameta wzajem od niego kochana. Lecz kochając mię przez trzy lata woli raczéj mnie się wyrzec, niźli religii ojców swoich. Ślachetność, honor, rycerstwo ożywiają go i do śmierci będę go uwielbiała.«

Don Karlos umiał ocenić stałość Aben-Hameta w wierze, chociaż opłakiwał zaślepienie niewiernego. »Nieszczęśliwa Blanko!« rzekł »dokąd cię ta miłość doprowadzi? Miałem nadzieję, że Lautrek, mój przyjaciel, bratem moim zostanie.« — »Zawiodłeś się« odpowiedziała Blanka »nie mogę kochać Lautreka. Co się zaś tyczy uczuć moich do Aben-Hameta, nikomu z nich sprawiać się nie powinnam. Dotrzymaj rycerskiéj przysięgi twojéj, jak ja mojéj miłośnéj dotrzymam. Wiedz jednak, że nigdy Blanka małżonką niewiernego nie będzie.« — »A więc rodzina nasza ma z téj ziemi zniknąć na zawsze!« krzyknął Don Karlos. — »Do ciebie należy wskrzesić ją znowu« rzekła Blanka. »Zresztą po co ci synów, którychbyś nie widział, i którzyby się z cnót twoich wyrodzili? Don Karłosie! czuję, żeśmy z naszego rodu ostatni. Za nadto oddalamy się od zwyczajnego porządku rzeczy, by krew nasza jeszcze po nas kwitnąć mogła. Cyd był naszym przodkiem, on będzie potomstwem naszém.« To mówiąc odeszła Blanka. — Don Karlos leci do Awanseraża: »Maurze!« rzekł do niego »porzuć siostrę moję, lub bij się ze mną.« — »Czy siostra twoja« rzekł Aben-Hamet »przysłała cię z tém do mnie, czy ona żąda powrócenia wykonanych mi przysiąg?« — »Nie« odpowiedział Don Karlos, »ona cię teraz mocniéj jeszcze kocha, jak wprzódy.« — »Godny bracie Blanki!« zawołał przerywając Aben-Hamet »więc szczęście moje winien będę krwi twojéj! O szczęśliwy Aben-Hamecie! O dniu błogosławiony! a jam już sądził, że Blanka dla owego francuskiego rycerza niewierną mi się stała.« — »To właśnie jest nieszczęściem twojem« krzyknął Don Karlos w największym gniewie. »Lautrek jest przyjacielem moim, gdybyś nie ty, byłby moim bratem. Odpowiesz mi za łzy, które przez ciebie płyną w domu naszym.« — »Chcę odpowiedzieć za nie« rzekł Aben-Hamet, »lecz chociaż pochodzę ze ślachetnego rodu, od którego twój nie raz może został zwalczony, rycerzem

nie jestem. Nie widzę tu nikego, którzyby udzielił mi rycerstwa, bez czego nie mógłbym potykać się z tobą.« Don Karlos uwagą tą Maura dotknięty patrzał na niego z zadziwieniem i wściekłością. Zawołał wreszcie: »Ja sam na rycerza pasować cię będę, jesteś godzien tego zaszczytu.« — Aben-Hamet uklęknął i Don Karlos udzielił mu zaszczytu rycerstwa uderzywszy go po trzykrotnie płazem oręża po plecach. Poczém opasał go tym samym orężem, który Awanseraż może w piersiach jego miał utopić; lecz takie to dawniéj były obyczaje.

Obadwaj wsiadają na koń, opuszczają mury Granady i jadą do źrzódła będącego w pobliskim gaju. Pojedynki Maurów z Chrześcijanami dawno to miejsce sławném uczyniły. Tu Malek Alabes bił się z Ponsem de Leon i Wielki Mistrz Kalatrawy walecznemu Abajadosowi życie odebrał. Widziano jeszcze szczątki broni rycerza maurytańskiego zawieszone na gałęzi pobliskiéj sosny, a na korze drzewa postrzegano dotąd kilka liter nagrobka. Don Karlos pokazując ręką Awanserażowi grób Abajadosa, zawołał: »Naśladuj tego walecznego pohańca; odbierz chrzest i śmierć z ręki mojéj.« — »Śmierć może« odpowiedział Aben-Hamet, »ale niech żyje Alla i Prorok!«

Stanęli i z wściekłością uderzyli na siebie. Mieli tylko oręże w ręku. Aben-Hamet nie był w boju tak zręczny, jak Don Karlos, atoli dzielność jego damasceńskiéj szabli i lekkość arabskiego rumaka wiele mu korzyści nadawały. Sposobem Maurów toczył swym koniem i ostrzem szerokiego strzemienia swego przeciął prawą nogę rumakowi przeciwnika. Zraniony rumak padł na ziemię, poczém Don Karlos skoczywszy z siodła z orężem w ręku rzucił się na Aben-Hameta. I Aben-Hamet zsiada z konia i nieustraszony wystawia się na razy przeciwnika. Odbija pierwsze uderzenie Hiszpana i łamie mu oręż damasceńską szablą. Dwakroć opuszczony od szczęścia wylewa Don Karlos łzy wściekłości i woła na nieprzyjaciela: »Uderz Maurze, uderz! Rozbrojony Don Karlos nie lęka się stawić czoła tobie i całemu pokoleniu niewiernych.« — »Ty może chciałeś mię zabić« odpowiedział Maur »ale ja ani cię zranić myślałem. Chciałem ci tylko dowieść, żem godzien być twoim bratem i niezasługuję na nienawiść twoję.« — W chwili téj ujrzano bałwany prochu, Lautrek i Blanka lecieli na rumakach Fecu, lekszych od wiatru. Przybywają do źrzódła, lecz rycerze nie walczyli już. — »Pokonany jestem« rzekł Don Karlos, »rycerz ten darował mi życie. Lautreku, może ty będziesz szczęśliwszy odemnie.« — »Rany moje« rzekł Lautrek »nie pozwalają mi walczyć z tym grzecznym rycerzem. Nie chcę« mówił daléj zarumieniony »znać powodu waszéj sprzeczki i dociekać tajemnicy, którąby może śmierć mi zadała. Wkrótce oddalenie się moje pokój wam powróci, skoro Blanka nie każe mi u nóg swoich pozostać.« — »Rycerzu!« rzekła Blanka »zostań przy bracie moim i uważaj mię jak siostrę. Wszystkie znajdujące się tu serca czują smutek, nauczysz się od nas rycerzu nieszczęście życia ponosić.« Blanka usiłowała skłonić rycerzów do podania sobie rąk, ale nie chcieli tego uczynić. »Nienawidzę Aben-Hameta« zawołał Don Karlos. »Ja mu zazdroszczę« rzekł Lautrek. »A ja« mówił Awanseraż »szanuję Don Karlosa, ubolewam nad Lautrekiem, ale nie mogę ich kochać.« — »Gdy częściéj« powiedziała Blanka, »widywać się będziemy, przyjaźń po szacunku nastąpi. Jednak to nieszczęśliwe zdarzenie, które nas tu sprowadziło, niech będzie tajemnicą w Granadzie.«

Aben-Hamet był od téj chwili córce Xiążęcia Santa-Fé jeszcze tysiąc razy droższym. Miłość lubi odwagę. Niczego już nie brakowało Awanserażowi, gdy był walecznym, i Don Karlos winien mu był życie. Blanka radziła Aben-Hametowi dni kilka nie pokazywać się w pałacu, dopokąd nie ochłonie gniew Don Karlosa. Słodkie i przykre uczucia mieszając się razem napełniały duszę Awanseraża. Gdy z jednéj strony ta pewność, że kochany z taką wiernością i zapałem, była dla niego niewyczerpanym zdrojem uniesień, z drugiéj atoli niepokoiło to Aben-Hameta, że

tylko wyrzeczeniem się wiary ojców swoich szczęśliwym być może. Lat kilka upłynęło, a nie mógł temu nieszczęściu zaradzić, miałże i resztę życia w podobnym stanie przepędzić? Zatopiony był w odmęcie ponurych i tkliwych myśli, gdy pewnego wieczora usłyszał dzwonek chrześcijański wzywający na wieczorną modlitwę. Wpadło mu na myśl pójść do kościoła Boga Blanki i zaciągnąć rady od twórcy przyrodzenia. Przybywa pod bramę dawnego meczetu, przez prawowiernych na kościół przerobionego. Z sercem pełném smutku i religii wchodzi do świątyni będącej niegdyś własnością jego Boga i ojczyzny. Już ukończono modły i nikogo nie było w kościele. Swięta ciemność panowała pomiędzy mnóstwem słupów podobnych drzewom regularnie zasadzonego lasu. Lekka budowa Arabów miała niejaką styczność z gotycką i nie tracąc charakteru właściwéj świetności swojéj przybrała pewny rodzaj powagi, tyle do dumań stosowny. Kilka lamp słabo oświecało te ciemne sklepienia, lecz ołtarz wielki jaśniejący od mnóstwa świc, błyszczał złotem i drogiemi kamieniami.

W całym kościele nie było żadnego siedzenia. Bogacz równie jak i ubogi klękał tam do modłów na marmurowéj podłodze okrywającéj trunny. Aben-Hamet przechadzał się wolnym krokiem po kościele, po którym echo odgłos stąpania jego odbijało. Umysł jego podzielony był pomiędzy wspomnieniem o religii maurytańskiéj, jakie odnawiał w nim widok tego starożytnego gmachu i pomysłami, jakie w sercu jego religija chrześcijan obudzała. Koło pewnego słupa ujrzał klęczącą nieruchomą postać, którą z początku wziął za posąg wzniesiony na grobowcu. Zbliżywszy się rozpoznał w postaci téj jakiegoś młodego rycerza, co klęcząc miał czoło z pokorą nachylone ku ziemi i ręce założone na krzyż na piersiach. Rycerz poruszył się cokolwiek na szelest kroków Aben-Hameta, lecz nic nie mogło przerwać pobożnéj jego modlitwy. Oręż jego leżał na podłodze, a obok niego na marmurze kapelusz z piórami, zdawało się, że ten rycerz mocą czarodziejską do zimnéj podłogi przykuty. Byłto Lautrek. »Ach!« rzekł Awanseraż do siebie: »Ten młody piękny Francuz prosi zapewne nieba o jakąś szczególną łaskę, wojownik ten, sławny odwagą, odkrywa twórcy natury serce swoje i korzy się, jak gdyby najmizerniejszy z ludzi. Módlmy się więc do Boga rycerzów i sławy!«

Aben-Hamet uklęknął na marmurze, gdy w tém przy świetle lampy ujrzał na przełamanym kamieniu gipsowym po arabsku napisany wiersz Koranu. Wyrzuty sumienia opanowały serce jego i z pośpiechem oddalił się z miejsca, gdzie omal co nie stał się niewiernym religii i ojczyznie swojéj.

Cmentarz, stary ten meczet otaczający, zasadzony był pomarańczami, cyprysami i palmowemi drzewami. Dwa zdroje płynęły po nim, a opasywały go mury klasztoru. Aben-Hamet przechodząc przez cmentarz, ujrzał kobietę jakąś śpieszącą do kościoła. Chociaż była zasłoną okryta, poznał w niéj Awanseraż córkę Xiążęcia Santa-Fé. Zatrzymał się i przemówił do niéj: »Szukasz zapewne Lautreka w kościele?«

»Porzuć tę nikczemną zazdrość« rzekła Blanka. »Gdybym cię nie kochała, powiedziałabym ci to otwarcie. Nie chciałabym cię oszukiwać. Idę modlić się za ciebie, ty dotąd jesteś jedynym życzeń moich przedmiotem. Zapominam o duszy mojéj dla twojéj duszy. Kiedyś nie chciał służyc temu samemu Bogu, któremu ja służę, po co upajałeś mię trucizną miłości. Rodzinę moję niepokojem nabawiasz; mój brat mię nienawidzi, ojciec boleje nad tém, że wzbraniam się pojąć małżonka. Czy nie postrzegasz, że zapadam na zdrowiu? Patrz na to siedlisko śmierci, nie jest ono powabne, wkrótce i ja tu spoczywać będę, jeźli nie pospieszysz zaślubić mię u stopni ołtarza chrześcijan. Walki wewnętrzne, które w łonie mojém ponoszę, zniszczą powoli życie moje. Panująca we mnie namiętność nie długo utrzymywać będzie słabe jestestwo moje, i ażeby wyrazić się sposobem mowy twojéj, pomniéj

Maurze, iż ogień pochodnią zapalający takową niszczy oraz.«

Blanka wchodzi do kościoła i zostawia Aben-Hameta przerażonego ostatniemi jéj słowy. Stało się, Awanseraż pokonany. Chce już wyrzec się błędów wiary swojéj. Dosyć długo walczył. Bojaźń, by Blanka nie umarła, przeważyła wszystkie inne uczucia w sercu Aben-Hameta. »Kto wié« mówił do siebie, »może Bóg chrześcijan jest istotnie prawdziwym Bogiem. Jest ón Bogiem dusz ślachetnych, kiedy jest Bogiem Blanki, Don Karlosa i Lautreka.«

(Ciąg dalszy nastąpi.)

RYBAK,

(Ballada Goethego.)

Woda się burzy, woda się wzdyma,
A nad nią rybak schylony
Spokojnie wędkę śledzi oczyma,
W które ją niesie pęd strony.
I gdy tak wzrokiem po falach wodzi,
Na dwoje woda się dzieli;
Jak zorza piękna, z mokréj topieli,
Piękność dziewicza wychodzi.

Po co nad rybek pastwisz się zgonem,
Pełen chytrości i zdrady —
(Czule doń tkliwym zanóci tonem)
Po co ich pragniesz zagłady?
O gdybyś wiedział, jak słodkiej w toni
Rybki kosztują swobody,
Sambyś aż na dno sinéj zszedł wody,
Która ci czérstwość uroni.

Alboż się jasne słońca oblicze
Nurtami morza nie poi?
Nie milszeż Luny wdzięki dziewicze,
Gdy je nurt śrébrny podwoi?
Kiedyć nie wabi nieba tło szczytne
W głąb przeźroczystéj kąpieli;
Niechże cię własną postać ośmieli
Spuścić się w wody błękitne.

Woda się burzy, wzdymają tonie,
Łechce go fala, co pryska;
A serce taka lubość owionie,
Jak gdy kochanka uściska.
A ona śpiewa — śpiewy czułemi
Tak go pociąga, zniewala:
Że na wpół pada... chwyta go fala —
I już nie postał na ziemi.

L. A. N.......

UWAGI
NAD ZDANIEM P. W— Z OLESKA,
O SPOSOBIE SĄDZENIA TEATRU LWOWSKIEGO,
TUDZIEŻ NAD ROZBIOREM KOMEDYI:
ODLUDKI I POETA.

W piérwszym Nrze Rozmaitości tegorocznych wyłożył nam P. W— z Oleska, czego po teatrze naszym wymagać i jak o nim sądzić należy. Jakkolwiek wyprowadzenie założonego w tym przedmiocie zamiaru, znamionuje rozsądnego i z rzeczą obeznanego pisarza, nie zgodziłbym się z nim wszelako na te *pewne punkta*, których w pisaniu krytyk i sądzeniu o teatrze lwowskim trzymać się, za rzecz potrzebną stanowi. »Zasady ogólne« mówi »nie są w tym względzie dostateczne.« Lecz jakież będą dostateczne, gdy te niemi nie będą? Byłyżby szczególne dostateczniejszemi? Chciał zapewne powiedzieć, że nie będą właściwe — lecz i w tym razie poważam się bydź przeciwnego zdania. Przyczynę niedostateczności zasad ogólnych w tém P. W— z Oleska upatruje, iż tu nie może bydź mowy o teatrze w ogólności, ale o teatrze polskim we Lwowie. Lecz według naszego zdania, ani tu w ogólności o teatrze, ani w szczególności o teatrze lwowskim mowa bydź może lub powinna, ale jedynie o zjawieniach sztuki na polskiéj scenie we Lwowie, bezwzględnie na okoliczności teatru. Gdyby krytyka, uważana jako pochodnia na drodze do szczytów sztuki jéj zwolennikom przyświecająca, zmuszoną była ograniczać się uwagą, iż tego tylko żądać powinna, czego szczególne okoliczności żądać jéj dozwalają, byłażby natenczas czém inném, jak służebnicą tych okoliczności? Spełniłażby piękne i wielkie powołanie swoje?... Prawidła estetyki, z zasad filozoficznych i przeznaczenia sztuk pięknych wypływające, są tego rodzaju, iż w zastosowaniu do sztuki, dla któréj są przepisane, zewnętrznemi względami zwalniać się dają. Każden wzgląd takowy, aczkolwiek mógłby wskazać przyczynę, dla któréj sztuka prawidłom nieodpowiedziała, upo-

ważnić jednak sądu krytycznego nie może, aby zwalniał prawidła, zniżał je do utworów sztuki, i według tego zniżonego widoku o nich wyrokował; gdyby albowiem przypuszczać to można, tedy przy niepodobieństwie już natenczas oznaczenia pewnego stanowiska, zwalniając tym sposobem ciągle prawidła według okoliczności, możnaby wreszcie przyjść do tego, iż najlichsze nawet przedstawienia sceniczne za dobre i sztuce odpowiednie uważaćby się dały.

Nie chcę ja bynajmniéj przez to zaprzeczać, iżby krytyk, poświęcony w tajemnice i obeznany z położeniem sceny, nie miał w tém pomocnych źródeł do swojego sądu; owszém przyznaję, iż takowe wiadomości już objaśniają, już usprawiedliwiają poniekąd mniéj doskonałe i sztuce dramatycznéj mniéj odpowiadające zjawienia. Wszelako, aby zdania jego mogły przynieść artystom korzyści, jakie przynieść powinny, należy mu być zupełnie niezawisłym od owych okoliczności teatralnych i strzédz się w zastosowaniu prawideł mieć na nie wzgląd jakowy; lub wreszcie, gdy mu się wzgląd ten mieć podoba, może je przytoczyć jako przyczyny, dla których lepiéj być nie mogło lub nie może, ale bynajmniéj przez to nie gwałcić, nie nadwerężać, nie osłabiać praw, jakie Estetyka do sztuk pięknych i ich kapłanów zakłada. Z tych tedy powodów niesądziłbym rzeczą potrzebną zniżać stanowisko, z którego krytyka ma na scenę polską poglądać, tém bardziéj, gdy pod względem sztuki polscy artyści przy gorliwszéj chęci byliby w stanie wydołać żądaniom, jakie do nich mieć mogą prawidła, ich własne powołanie i publiczność.

To zboczenie P. W — z Oleska z toru krytyce w estetycznym zawodzie właściwego, wypłynęło widocznie z chęci pogodzenia prawideł sztuki dramatycznéj ze względami na położenie teatru; a lubo pogodzenie takowe z powyższych przyczyn uskutecznić się nie daje, chęć jednakże ku temu okazana, nieupoważnia myśleć i przypuszczać, aby P. W — z Oleska mniéj godne miał o krytyce i jéj zasadach rozumienie. Cała dążność i treść jego w tym przedmiocie uwag okazuje, iż szczérze pragnie, aby na zwaliskach czczych i niedołężnych zdań, których dotąd Rozmaitości o teatrze udzielały, wzniosła się rozumowa krytyka, na zasadach oparta i godna tak powołania swojego, jak i czytelników. Warunki, do takowéj krytyki konieczne, czytamy w tych słowach wyłożone: »Prawideł sztuk pięknych uczy nas Estetyka. Do pojęcia tych prawideł, a bardziéj jeszcze do zastosowania onych potrzeba bystrego rozumu i wykształconego czucia. Ztąd więc wynika, iż zajmujący się krytyką, powinien oprócz dokładnéj wiadomości zasad Estetyki, posiadać bystry rozum, głębokie i wykształcone czucie.«

Wszystko to nie mogło jak tylko najpiękniejsze obudzić w czytelnikach nadzieje, zapowiadając dojrzałe owoce krytycznego pióra. Z całą ufnością więc, na jaką takowe zapowiedzenie zasługuje, wziąłem do rąk Numer 5ty Rozmaitości, gdzie w kronice teatru znalazłem rozbiór Komedyi: O d l u d k i i P o e t a. Czytając atoli wywód tego rozbioru, nie wiedziałem, czyli go mam brać w sposobie ironii, czyli jako rzeczywiste i szczére zdanie P. W — z Oleska. Zaufanie, które w 1szym Nrze namienionym sposobem ku gruntowności swego sądu mieć kazał, było przyczyną téj wątpliwości. Ciągle byłem w rozumieniu, że to jest satyryczny na autora panegiryk, i w tém potwierdzały mię już te przy końcu słowa: »Tak ogromna myśl, jakże autor prostym, jak łatwym sposobem, jak gdyby od niechcenia wyłożył!« już następne zaraz twierdzenie: »iż ta mała sztuczka jest najoryginalniejszą *Trajedyją* ze wszystkich, które nam dotąd są znane.« Lecz myśl, że tego rodzaju złośliwość nie byłaby na swojém miejscu, a więcéj jeszcze własne pisarza krytyki oświadczenie, iż czuje się na siłach poprzeć to zdanie powagą ze sztuki saméj wziętą i śmiało na ten wypadek rzuca rękawicę — wyprowadziły mię nareszcie z błędu, i nie zostawiły wątpliwości, iż rzeczywiście tego jest przekonania. — Gdyby tu szło o zdania w rzeczy, którąby ich różność przypuszcza-

ła, natenczas, szanując doświadczeniem upoważnione przysłowie: *Quot capita tot sensus*, nie ważyłbym się opierać sposobowi widzenia rzeczy Pana W— z Oleska; lecz gdy rzecz, o którą tu idzie, nie jest tego rodzaju, mam sobie za obowiązek wyłożyć mylność jego twierdzeń, już ze względu na krzywdę sztuce traicznej wyrządzoną, już z obawy, ażeby młodzi uczniowie Melpomeny nie zbłąkali się na bezdroże z toru prawego.

Co pisarza kroniki do takich o téj Komedyi twierdzeń przywiodło, wyjaśnia nam się z własnych słów jego: »Żadna sztuka autora« mówi »nie wzbudza tyle *własnych* myśli, jak „Odludki," które nas przymuszają do snucia dalszego wątka, do gubienia się z jednéj myśli w drugą, aż nakoniec duch *zaciekłszy się* w głębią badań, staje zdumiony nieskończonym przestworem otwierających się przed nim widoków.« Gdyby krytyka, w sądzeniu o płodach sztuk pięknych, z tego wychodziła stanowiska, zawsze tylko mielibyśmy nie rozbiór płodu i jego ocenienie, ale zdanie sprawy z własnych krytykującego wyobrażeń i pomysłów — a dokądżeby w tym względzie silna wyobraźność i głębokość czucia doprowadzić nie mogły! Tak i pisarz kroniki nie rozbiera téj Komedyi jako płodu dramatycznego w celu, układzie i formie przez autora mu nadanych, ale, porwany silną wyobraźnością i głębokiém czuciem zdaje nam sprawę z utworu, własnego w głębią badań zacieczonego ducha. Mając zaś rozbiór téj Komedyi w przedsięwzięciu, starał się własne te pomysły przystosować do niéj, i tak podłożył autorowi zamiary i widoki, jakich w żaden sposób przy tém dziełku mieć nie mógł. — Dowody zaś tego, może się wykażą z uwag następnych.

Komedyją tę zowie pisarz kroniki *pączkiem*, który więcéj ukrywa, niż widzieć daje. Ależ płody dramatyczne nie mogą i nie powinny bydź pączkami. Każda gałąź poezyi ma właściwą sobie formę i cel swój właściwy, od których jako istotnych i koniecznych warunków odstąpić nie może. Zgłębiając zaś istotę poezyi dramatycznéj, jestto właśnie jéj wyłączną cechą i zadaniem przez cel oznaczoném, iż utwory w pączkach zostawiać jéj nie wolno. Cel zaś i forma tak ścisłym łączą się węzłem, iż przez tą jedynie tamten osiągnąć się daje. Jakaż jest ta konieczna forma? Żywe przed naszém okiem przedstawienie czynów w następstwie działania, całą dokładnością i prawdą. Poeta więc dramatyczny, świadom warunków tego rodzaju poezyi, nie dopiąłby celu, gdyby nie zachował formy — nie może więc zostawić swego utworu pączkiem, nie może to, co w celu sobie założył, zostawić dowolności wyobrażeń każdego widza z osobna; przeciwnie, gdy już tego porównania trzymać się musimy, rozwinąć mu potrzeba żywioł ukryty w zarodzie przez wszystkie stopnie działającéj siły aż do zupełności kwiatu. Tu jest najwyższy szczyt poezyi dramatycznéj, na który wzbić się rzadko i jenijuszom tylko się udaje.

Utrzymuje daléj pisarz kroniki, iż nie można powiedzieć, aby ta sztuka była ukończoną, ani da się ukończyć. W widoku, w jakim pisarz tę sztukę uważa, biorąc Odludków za przedmiot główny i snując stąd wątek dalszy w swojém wyobrażeniu, w saméj rzeczy nie byłaby ukończoną; ale w tym widoku i zaczętą nie jest. Autor nie bierze bynajmniéj Odludków jako główny przedmiot swego zadania, i dla tego nawet nie wystawia ich działających; dosyć dla jego zamiaru, gdy już jako gotowe dzieła, czyto przeciwności czy własnego nierozsądku, stawi ich przed nami; albowiem o to mu jedynie tu idzie, aby wystawieniem sprzecznych przedmiotów już w zupełności skutków, za pomocą téj sprzeczności tém silniéj uderzył w czucie, i w tém powabniejszém okazał świetle zajmujący obraz pięknego charakteru, a w nim tego szczęścia, jakiego człowiek z czystém i ślachetném sercem i nieroszczący sobie przesadnych, urojonych praw do świata i ludzi, obfite źródło w sobie samym znachodzi. Pod tym względem uważam tę sztukę za ukończoną i ukończoną zupełnie, ile że prawdzie skreślonego obrazu ulega oburzony przeciw ludzkości Czesław. Ten cel jedynie mógł mieć poeta na widoku,

inny bowiem według zasad poezyi dramatycznéj z téj osnowy wyprowadzić się nie da. — Pisarz kroniki w twierdzeniu, iż sztuka nie jest ukończoną, tém się powoduje, iż aby była ukończoną, potrzeba iść jeszcze za Astolfem; że się zaś ukończyć nie da, stąd wnosi, iż idąc za Astolfem trafićby można na rzeczy, których oko ludzkie zniesćby nie mogło. Ależ do ukończenia sztuki bynajmniéj za Astolfem iść nie potrzeba. Los tego dziwaka nie obchodzi nas wcale, gdyż same narzekania bez przyczyn naocznych, któreby przed nami poniekąd przynajmniéj usprawiedliwiały jego nienawiść ku ludziom, nie mogą sprawić, aby nas osobiście i tak dalece interesował — jego pogróżka nawet, iż sobie w łeb strzeli, nie męci nam czystego uczucia, które koniec tego dramatycznego obrazu w nas zostawia. Co do drugiego, jakieżto są te rzeczy, których widoku oko ludzkie zniesćby nie mogło? Najwyższe i najprawdziwsze wypadki traiczne, które nam Grecy, Anglicy, Francuzi i Niemcy w formie dramatycznéj przedstawili, nie tylko że ludzkie oko znosi, ale owszem z upodobaniem je widzi, z upodobaniem, które się z celu poezyi dramatycznéj rodzi i tłumaczy. Lecz pod tym względem, przedmiotem sztuki traicznéj nie może bydź Astolf w łeb sobie strzelający; jego krok takowy, uskuteczniony z powziętéj bez znanych nam przyczyn nienawiści ku ludziom, nazwalibyśmy tylko szaleństwem; żałowalibyśmy go może, jeżeli był ofiarą wybujałego uczucia i wyobrażeń, czulibyśmy wstręt, jeżeli był zbrodniarzem, ale w żadnym razie nielitowalibyśmy się nad nim, z powodów, które się niżéj wyjaśnią. Werthera ciérpienia i koniec zajmuje nas w Romansie, jako obraz obłąkanego czuciem umysłu, ale przedstawione na scenie uchybiłyby celu sztuki traicznéj.

Jako dowód, że są pomysły tego co *Odludki i Poeta* rodzaju, które ukończyć się nie dają, przytacza pisarz kroniki Duchowidza i Fausta. Ile nam z życia Szyllera wiadomo, nie dla tego zostawił ón swego Duchowidza nieukończonym, iż go takim zostawić *musiał*, ale z téj jedynie przyczyny, iż pobudził i natężył tylko ciekawość czytelników, gdy jego pomysły do wyższego dążyły zamiaru, który też w treści zapoznać się nie daje. Faust Goethego, lubo w osnowie do końca niedoprowadzony, mógłby bydź pod względem sztuki i w téj połowie, jaką mamy, za całość uważany. Zarys tego w swoim rodzaju jedynego dzieła, nie zostawia wątpliwości, co miał poeta na celu, i lubo w jednem miejscu duch przedwieczny odpowiada Mefistofelesowi:

Nun gut, so sey dir überlassen!
Zieh diesen Geist von seinem Urquell ab,
Und führ' ihn, kannst du ihn erfassen,
Auf deinem Wege mit herab,
Und steh beschämt, wenn du bekennen musst:
Ein guter Mensch, in seinem dunkeln Drange,
Ist sich des rechten Weges wohl bewusst.

w drugiém zaś Mefistofeles mówi:

Ihm hat das Schicksal einen Geist gegeben,
Der ungebändigt immer vorwärts dringt,
Und dessen übereiltes Streben
Der Erde Freuden überspringt.

Und hätt' er sich auch nicht dem Teufel übergeben,
Er müsste doch zu Grunde geh'n!

to bynajmniéj nie przeszkadza mu w zdążeniu ku założonemu celowi. Z rysów charakteru Fausta w osnowie rozsypanych, widzimy, iż Faust zawsze, mimowolnie tylko ku złemu ciągniony, sili się powrócić na drogę prawą, i tak się kończy ta połowa dzieła. Lecz chociażby druga połowa skończyła się nawet przepowiednią Mefistofelesa, zawsze poeta byłby doszedł celu, bo zawsze, czyli się rzecz zakończy karą piekła czy tryjumfem nieba, najwyższemu prawu moralności zadosyć uczynione będzie. Nie ma więc nigdzie dostatecznych przyczyn, dla którychby sądzić można, że Faust Goethego był pomysłem tego rodzaju, że go poeta nieukończonym zostawić *musiał*. Tak *Eugenija* jego jest nieukończoną, tak długo trwało, nim po Wilhelma Meistra *Lehrjahre* nastąpiły jego *Wanderjahre*, a chociażby jego *Meisterjahre* wcale już nie wyszły, nie możnaby przeto twierdzić, iż dla tego rzecz niedokończoną została, iż ją poeta niedokończoną zostawić musiał. Przypuszczać bowiem, iż jenijusze, jak Szyller i Goethe, przedsiębrali utworzenie czegoś, co w połowie niedo-

kończoném zostawić musieli, jestto twierdzić, iż bez żadnéj myśli, bez planu, bez zamiaru puszczali się w zawód sztuki i sił swoich, i dopiéro śród zawodu ocknąwszy się poznali, iż nie wiedzą czego chcieli, lub nie do swojéj chwycili się rzeczy. — Lecz powróćmy do Odludków.

Pan W. z Oleska zastanawia sie daléj nad przyczynami, które zrządziły tak nieszczęśliwe usposobienie umysłu tych Odludków. To, co o obudwóch przytacza, uważa jako przyczyny ich nienawiści ku ludziom; lecz nie sąto wcale przyczyny, sąto już tylko użalenia się na losy i wyrzékania, któremi nam stan umysłów swoich malują, sąto już skutki przyczyn nam zupełnie nieznanych. Lecz nietylko w tych siedmiu przytoczonych wierszach, ale w całém dziełku nieznalazłby pisarz kroniki przyczyn, których szuka; gdyż autor nie wziął Odludków za przedmiot, ale, jak już wspomnieliśmy, za środki tylko do innego celu, i dla tego nie potrzebował wyłuszczać nam przyczyn ich położenia smutnego. Upatrując wszelako w tych żalach przyczyny i to przyczyny te same, dziwi się pisarz, że z tych samych przyczyn jednak tak różne skutki wypadły. Aby więc znowu dociec przyczyn téj różności w skutkach, zastanawia się nad naturą Odludków w ogólności, skąd ma wyprowadzić odpowiedź. Lecz jakkolwiek piękny daje nam obraz Odludków, wszelako to, czego przez opisujący wywód doszedł, nie jest odpowiedzią na to, czego szukał. Przeciwnie, dzieląc Odludków na idealnych i realnych, jako w skutkach między sobą się różniących, oznacza razem i różność przyczyn, których jedne w sobie, drugie zewnątrz siebie Odludki znajdują. Jeżeli tedy według tego bezsprzecznie prawdziwego Odludków podziału, Czesław do pierwszych, Astolf do drugich należy, już i przyczyny, według powyższego oznaczenia, te same bydź nie mogą. W tem własnem P. W — z Oleska wnioskowaniu, którém pomimo przypuszczenia jednych i tych samych przyczyn doszedł wszelako z różności skutków do różności przyczyn, najlepszy znajduje się dowód, iż przytoczone słowa Odludków są tylko wyrzekaniami zbolałego czucia, ale nie przyczynami ich nienawiści ku ludziom. — Nie mogę i na to się zgodzić, ażeby Odludki posiadali przewyższające siły umysłu. Gdyby je posiadali, nie wzięłoby nad nimi przewagi mocne i drażliwe czucie. Właśnie dla tego, że przy słabych umysłu siłach zbyt wiele i nieznającego granic posiadają czucia, stają się odludkami. Z tego samego źródła wypływają dowody, dla których mylne jest utrzymywanie Pana W — z Oleska, iż Odludki przerażenie i politowanie na wysoki wznoszą stopień. Wywód ten był wprawdzie pisarzowi kroniki potrzebny, skoro sobie przedsięwziął widzieć w tym dramatycznym obrazie najoryginalniejszą Trajedyją ze wszystkich, ktore nam są znane; lecz przeto nieprzestaje być mylnym. Astolf, ani ową traiczną, jak ją pisarz zowie, z Edwinem rozmową, ani tym strasznie pięknym obrazem duszy człowieka, który nam kréśli, zgoła niczém, co z ust jego słyszymy, nie może nas przerazić, gdyż nie widzimy przed sobą przyczyn, dla których takich farb używa; raczéj wnosić trzeba, iż jedynie własne jego przesadne do świata i ludzi żądania, stały się źródłem jego cierpień. Podobnież Czesław, lubo łagodniejszy w swoich wyrzékaniach, politowania wzbudzić nie może, bo i w nim nie widzimy, dla czego ludzi stroni, dla czego z nimi zgodzić się nie może.

Lecz nietylko Astolf i Czesław — w ogólności rodzaj charakterów, jaki zwykle widzimy w Odludkach, nie może, czyli właściwszym wyrazem, nie powinien bydź przedmiotem Trajedyi. Sąto tylko słabe istoty. Niebędąc w stanie oprzéć się wypadkom, którym podlegać w życiu jest przeznaczeniem człowieka, stali się ofiarami własnych, umysłowe ich siły przewyższających boleści. Przedmiotem sztuki traicznéj w ścisłém rozumieniu, może bydź tylko człowiek wielkiego sposobu myślenia, który, pomimo gromy na niego bijące, stoi niezgięty — a choć padnie pod brzemieniem cisnących go losów, padnie, ale i w upadku wolność i godność moralną

zachowa. Taki tylko może nam wlać uczucie politowania; lecz, ażeby je wzbudził, potrzeba, aby okazał siły swoje, których do oporu użył, musimy widzieć przed sobą jego działanie, bo tylko tym sposobem możemy mieć wyobrażenie o jego cierpieniach, musimy widzieć wielkość jego nieszczęść i mężną z nimi walkę — mężną mówię, któraby w nas mocne zostawiła przekonanie, że i my w podobnych położeniach podobnie działać i uledzbyśmy musieli. Ale odludek jest człowiekiem, który padł bez walki, a w upadku zhańbił wolność i moralność istoty swojéj, bo nie był w stanie przynieść zwycięztwa w hołdzie najwyższemu prawu, jakiemu człowiek podlega. — Gdybyśmy chcieli w przykładzie stawić charakter, którvby w walce z losem zdolny był i godny najwyższéj traiczności, niedaleko potrzebowalibyśmy sięgać. Rzućmy okiem na Edwina, na owego Edwina, którego

Ojca surowe nauki
Uczyły jak żyć trzeba i cierpienia sztuki —

przedstawmy go sobie w całym blasku téj piękności serca i umysłu, jakiéj doskonałość poeta nam w kilku tylko rysach oznaczył, i stawmy tego Edwina pośród burzy życia ludzkiego. Niechaj nieszczęścia przez osobliwsze zdarzenia losu cisną go i prześladują niezmordowanie — ón równie niezmordowanie stawiając im czoło, oprze się mężnie, a walcząc za cel wielki, choć padnie, wyjdzie zwycięzko. Widok człowieka walczącego z nieszczęściem, mówi któryś z Rzymianów, jest widokiem prawdziwie Bogów godnym.

Pozostaje nam jeszcze dodać słów kilka o sposobie, w jakim Pan W — z Oleska poezyją w zastosowaniu do téj Komedyi bierze i uważa. Stara się naprzód okazać, że nic niema w rzeczywistém życiu takiego, coby ludzi, jak Czesław i Astolf, uratować mogło — jedna tylko poezyja na to odważyć się może. Lecz to, co Czesława ratuje, nie jest poezyją. Jest to owszem obraz rzeczywistego życia, obraz pięknéj duszy i sposobu myślenia, przedstawiony w Edwinie. Poezyja jest tu tylko formą. Autor mógłby był równie uratować Czesława, gdyby zamiast formy poezyi dramatycznéj podobało mu się wziąć formę prozaicznéj rozprawy, w któréj duchem zdrowéj filozofii i przedstawieniem celu, do jakiego człowiek stworzony, umiałby trafić do przekonania Czesława; lub poznając, że ten sposób dla chorego jest za powolny i zimny, gdyby go ujął za rękę, i zaprowadził do chatki, zupełnie prozaicznéj, którąby atoli rzeczywistość, to jest sposób czucia, myślenia i widzenia rzeczy Edwina, zamieszkała, stanowiąc szczęście mieszkańców. Autor nie używa tu Edwina w zamiarze, jak pisarz kroniki sądzi, iżby chciał w nim uosobistnić kapłana poezyi i okazać, że w tém uosobistnieniu poezyi jest jedyny środek ratowania Czesława. Że w nim dał obraz poety i skréślił piękne powołanie wieszcza, to było osobnym i szczegółowym zamiarem autora, jedynie od jego upodobania zależącym; ale na tém uosobistnieniu nie zakłada bynajmniéj celu sztuki, ani środka ratowania Czesława. Okoliczność, że Edwin jest tu poetą, nie jest pobudką odludkowi, dla któréj w życiu znalazł jeszcze wdzięki. Czyby autor zrobił był Edwina kupczykiem czy astronomem, artystą czy wojskowym, skoroby go tylko zostawił z tymi przymiotami serca i umysłu, z tém wyobrażeniem o życiu i ufnością w cnotę, zawsze w Czesławie tę same byłby potrącił uczucia i do tegoż doszedł celu — a obraz ten dramatyczny nie mniéj przeto byłby poezyją. Dla tego więc mniemam, iż to, co pisarz kroniki w tym znowu względzie autorowi za zamiar, a sztuce za cel przeznacza, to jest: *wystawić boską moc poezyi, która sama będąc najwyższą harmoniją, do przejednania Adrastei najskuteczniejszym jest środkiem*, nietylko że jest zbyt idealnym w sobie, w brzmieniu słów nic nieoznaczającym, ale i w stosunku mylnym pomysłem. P o e z y j a, pod względem zdolności tworzącéj, jest siłą umysłu, która obrazy, myśli i wyobrażenia za pomocą zmysłów lub samym rozumem przyswojone, w zastosowaniu do życia ludzkiego w jednéj przedstawia całości, i tę całość

jednym wszystkie części ożywiającym duchem przenika; pod względem utworu, jest sztuką przeobrażania wielkich prawd w formy najwłaściwsze do trafienia w serce i umysł, prawd, któreby bez téj pomocy zmysłową leniwość człowieka zimną zostawiły. Celem zaś poezyi w szczególności, jak w ogólności pięknych kunsztów, nie jest moralność, ale przypodobanie się, przyjemność; a skoro tylko ten cel z moralnych wypłynął źródeł, nie chybi i moralnych skutków. Zastosowanie tego określenia do pomysłu przez pisarza kroniki jako cel poezyi i zamiar w téj sztuce wyłożonego, zostawiam czytelnikom. — Utrzymuje także P. W — z Oleska, iż jedynie poezyja jest w stanie pokazać, jak, czém i który rodzaj odludków ratowany być może. Tego poezyja bynajmniéj nie jest w stanie. Filozofija tylko praktyczna, to jest zbiór prawdziwych o życiu ludzkiém wyobrażeń, na drodze doświadczenia zdrowym rozumem zebranych, zdolna wskazać środki do tego. W jakiéj formie tych środków użyje, zależy od tego, który ich używa. Skutek okazuje, czy użył dobréj i właściwéj. Nie można więc twierdzić, iż poezyja, poezyja jedynie i uosobistniona mogła uratować Czesława. Uratowany on został tém, co w duszę jego najdzielniéj trafiło, obrazem rzeczywistego życia, którego autorowi w formie poezyi dramatycznéj użyć się podobało — ale nie poezyją w osobie Edwina. — Ani tego z pisarzem kroniki przypuścić można, iż jest rodzaj odludków, który wcale ratować się nie daje. Jeżeli tylko takiemu dziwakowi zdrowe pozostały zmysły, chodzić będzie jedynie o środek trafienia do jego umysłu lub serca. Że sobie gdzieś kto życie odbierze, nie dowodzi, jak tylko, że nie ratowano, lub niewłaściwemi ratowano środkami. Astolf nie musi przeto ginąć na wieki, iż został skałą tam, gdzie serce Czesława dźwięk wydało. Środek ten nie był dla niego. Ale w téj saméj twórczéj sile, w tém samém źródle doświadczenia, z którego wypłynął środek ratowania Czesława, znalazłby autor i dla Astolfa, skoroby sobie to przedsięwziął, środek ratowania. Gdyby zaś znowu w podobnéj formie użył go do celu, mielibyśmy drugi podobny obraz dramatyczny, a chociażby w tym środku nieuosobistniał poezyi, mielibyśmy przecież poezyją dramatyczną.

Zebrawszy wszystkie powyższe uwagi nad rozbiorem Odludków i Poety, sądzimy mieć prawo utrzymywać, cośmy w początku wyrzekli, iż pisarz kroniki, silną wyobraźnością i głębokiém uniesiony czuciem, rzuciwszy przedmiot wraz z zamiarem przez autora założonym, poszedł za tworem własnych wyobrażeń, i widok swój, przypadkowo jedynie przez stowarzyszenie pomysłów zrodzony, podsunął w zastosowaniu do sztuki, autorowi jako cel jego dążności. Czuł jednak, iż może przecie co innnego widzi — gdyż dodaje przy końcu, że choćby autor o tém nie myślał nawet, dość na tém, że ten wywód jest w jego myślach skutkiem przeczytanéj sztuki. Lecz niech nam się dodać godzi, iż na tém wcale nie jest dosyć; narzucać bowiem autorowi zamiary i widoki, własném wyobrażeniem lub czuciem spłodzone, a zwłaszcza takie, jakich w zarysie planu autor widocznie mieć nie mógł, i jakich lub w szczególności pewien rodzaj poezyi, lub w ogólności i duch i cel jéj nie dopuszcza, jest to mijać się z powołaniem krytyki, i równie autorowi jak sztuce krzywdę wyrządzać. Rozsądnie pod tym względem wyrzekł X. Dąbrowski: »W pochwałach równie jak w naganach potrzeba być zręcznym i ostrożnym, inaczéj pochwała lub nagana chybia swego celu i sprawia przeciwny zamiarowi skutek.« — Poeta, jakim się Alexander Hr. Fredro w płodach swoich okazał, nie potrzebuje i nie chce tego zapewne, aby krytyka jego utworom inne podkładała myśli; przeciwnie zasługa jego i talent tym tylko sposobem może w swoim okazać się blasku, jeżeli rozumowa krytyka jego tylko własne rozbierze pomysły, i w tym tylko składzie, w jakim je sam rozwija. A chociażbyśmy go natenczas *Arystofanesem* nie nazwali, dosyć mu pozostanie zalet, abyśmy go tém śmielszym bo sprawiedliwszym wyrokiem stawili na zasłużonem miejscu w przy-

bytku polskiej Talii, dokąd tak mało dąży rodaków.

Kończąc, nie waham się wszelako mimo tych uwag oddać sprawiedliwość pisarzowi kroniki, iż byłby zdolnym gruntownéj i rozsądnéj krytyki, skoroby sobie przedsięwziął, nie dać się porywać własnym pomysłom za granice przedmiotu, który ma przed sobą, i strzegł się idealnego, że się tak wyrażę, wyszukiwania dowodów na to, co mogło być jedynie skutkiem lub przypadkowo obudzonych pomysłów, lub przysposobienia na indywidualne usposobienie czucia i umysłu. Dla tego gdy pozostanie przy swoim zamiarze rozbierania nowych i znakomitszych płodów dramatycznych, czytelnicy równie jak sztuka, nie mogliby jak tylko zostać mu wdzięcznymi; bo jeżeli podobne jak Rocznik dramatyczny zjawienia zasługują na wzmiankę, a co gorsza, na zachęcenie, jakaż pozostanie zemsta znieważonym Muzom, jeżeli nie gruntowne rozbiory dzieł, oznaczonych piętnem prawdziwego talentu.

Gdyby zaś co się dotycze niniejszych spostrzeżeń i uwag, pisarz kroniki nie znalazł w nich dla siebie dostatecznych dowodów, że widok, w którym Odludków rozbierał, był z mylnego wzięty stanowiska, gdyby sądził, iż twierdzenie swoje, jakoby ten obraz dramatyczny był Trajedyją, i to Trajedyją najoryginalniejszą ze wszystkich, które nam dotąd są znane, może poprzéć powagą ze sztuki saméj wziętą — tedy z samego już szacunku dla Pana W— z Oleska podejmę rzuconą rękawicę, tém chętniéj, ile że wątpić nie mogę, aby tego rodzaju rozprawa pozostała dla czytelników bez interesu. Jednak dodać muszę, iżbym ją podjął pod tym jedynie warunkiem, jeżeliby się przeciwnik chciał ściśle trzymać przedmiotu w postaci i układzie, w jakich go autor przedstawił, nie zaś swojego pączka, któremu nadał woń i kolory, jakich w zarodzie nie było i być nie mogło; walczyć bowiem o utwór ducha zacieczonego w głębią własnych badań, nie jest moim zamiarem.

W. Ch[odźkiewicz]

Z PODRÓŻY P. KOX, ANGLIKA.

Z pomiędzy wielu, którzy zwiedziwszy nasz kraj za Stanisława Augusta, podróż swoję opisali, znamienite trzyma miejsce Kox Anglik. Niektóre okoliczności z jego pisma przytaczamy: — «Polacy są nader przyjacielscy, a Kobiety ich w ogóle liczyć się mogą do najlepiéj wychowanych w Europie. Każdy z wyższego stanu umie po francusku. Szczególniejszą łatwość ma ten naród do mówienia obcemi językami. Nic pospolitszego, jak widzieć Polaka we 20 roku mówiącego czysto 3ma lub 4ma językami. W najniższéj nawet klassie ludu często się znajdzie rozmawiający po łacinie. Kobiety są sławne z białości, przyjemnéj postawy, ze szczupłych nóg, i piękności długich włosów. Zwiedziwszy pałac Królewski w Warszawie i obejrzawszy przepyszny gabinet medalów, udaliśmy się nazajutrz o 8méj godzinie wieczorem, wezwani przez Króla, do jego letniego pomieszkania (Łazienki). Tam przyjął nas z ujmującą grzecznością. O w pół do 10téj poszliśmy za nim do sali, gdzie wieczerzą przygotowano. Nakrycie było na 8 osób koło małego okrągłego stołu; wieczerza składała się z jednéj tylko potrawy i owoców. Król siedział przy stole, lecz nic wcale nie jadł, mówił dosyć, ale starał się niepokazywać swojéj wyższości. Czynił mi wiele zapytań o stanie nauk i sztuk w Anglii, i zadziwił mię gruntowną wiadomością o naszych prawach i dziejach. W ciągu rozmowy ośmieliłem się uczynić zapytanie względem poezyi Polskiéj, J. K. Mość odpowiedział: »Mamy dosyć poezyj ulotnych, które nie są bez zalety, ale najdoskonalszém dziełem poetyczném, jakie nasz język posiada, jest tłómaczenie Jerozolimy wyzwolonéj Tassa. Przewyższa ona wszystkie przekłady w innych językach, Porównane z oryginałem mało od niego jest niższém.« Nabrałem śmiałości zapytać się daléj o najlepszą Historyją Polską. Monarcha mi odpowiedział, że dotąd naród dobrego dzieła w tym rodzaju nie posiada, lecz ma nadzieję, że wkrótce je

otrzyma, ponieważ znakomity Mąż zajął się tak ważną pracą.« — Co Margrabina d'Anspach, w swych Pamiętnikach mówi o mężach w wielu Prowincyjach polskich, to Pan Kox twierdzi o matkach na Żmudzi. — »Matki chcąc zawsze mieć na baczności swoje córki, zmuszają je do noszenia dzwonków na piersiach i plecach, aby wiedziały, gdzie się znajdują i czém są zatrudnione. P. Kox, jak się z jego podróży pokazuje, nie był nigdy na Żmudzi, i może jedynie z żartu jakowegoś utworzył tę powiastkę, Margrabina d'Anspach bez zastanowienia wciągnęła ją do swojego dzieła i dała początek baśni niesłychanéj. *(z Kur. Warsz.)*

Repertorium
tutejszéj sceny, na miesiąc Luty.

Dnia 2. Lutego *Dzwonek*, czyli: *Djabełek pazikiem*, Opera we 3 aktach z muzyką Herolda. — 5go na dochód JP. Smochowskiego: *Oblężenie Warszawy*, Drama we 4 aktach przez L. A. Dmuszewskiego; poczém nastąpiła Komedyja w 1 akcie z francuskiego przełożona, pod nazwiskiem: *Xiążę jedzie.* — 9go Komedyja w 5 aktach podług Goldsmitha: *Omyłki na wszystkie boki*, czyli: *Figle Jędrusia.* — 11go *Zabobon*, czyli: *Krakowiacy i Górale*, część druga. — 16go *Lékarz swojego honoru*, Trajedyja w 5 aktach podług Kalderona (pierwsze przedstawienie).— 19go *Damy i Huzary*, Komedyja we 3 aktach przez Hr. Alex. Fredra napisana. — 23go na dochód JP. Rudkiewicza: *Karnawał*, czyli: *Reduta na żony*, Komedyja w 5 aktach, podług włoskiego. — 26go ostatnie przedstawienie tego miesiąca: *Twardowski*, Opera we 3 aktach.

Ostatniemu przedstawieniu nie byliśmy przytomni; zachowujemy więc sobie na inny raz o *Twardowskim* nasze otworzyć zdanie. — Dokładny rozbiór Trajedyi *Lékarz swojego honoru*, tego ze wszech miar na zastanowienie się zasługującego zjawienia, po drugiéy nastąpi reprezentacyi.

Oto jest przyrzeczone w Numerze 23 G. n. zdanie, o grze JP. Szultza, wyjęte z Kuryjera litewskiego: Z Wilna: „Dzień 29. Grudnia r. z. długo pamiętny będzie amatorom i znawcom muzyki tuteyszego miasta. Dnia tego bowiem na publicznym koncercie, w sali Ratuszowéj, JP. Karol Schultz słyszeć się dał z pięknym i prawdziwie wielkim talentem swoim na arfie. Nic opisać nie zdoła powszechnego zachwycenia, nic wydać nie potrafi téj roskoszy, jaką serca znawców i amatorów przejęte były. JP. Schultz zadziwiającém i przedziwném graniem swojém dowiódł, czego prawdziwy jenijusz, przy usilnéj i trwałéj pracy dokazać może! Co sławny Bernard Romberg na wiolonczeli, co Karol Czerny i Fild na fortepijanie, co Rode, Baillot i Paganini na skrzypcach, co nakoniec wszyscy inni, na różnych instrumentach najznakomitsi artyści, okazali kiedy wielkiego i zachwycającego, to wszystko zawiérała w sobie, pełna gustu, energii, wytwornéj slachetności, zapału i wdzięku gra JPana Schultza. Wielu światłych muzyki znawców, z bezstronnością przyznało, że nic podobnego na arfie w pierwszych miastach Europy słyszeć się im nie zdarzyło! Gdyby w tak wysokim stopniu na jakimkolwiek innym grał JP. Schultz instrumencie, najmilszą dla swych słuchaczów sprawiłby przyjemność, tém bardziej zaś zachwyca graniem swojém na arfie. Wiadomo bowiem każdemu, jak arfa jest instrumentem starożytnym; jakie wdzięki i bogactwa harmonii wydobyć z niéj można: jak zachwyca nam serca, tak daiece, że sprawiedliwie ją z tego względu, Francuzi nazywają: instrumentem niebiańskim (*instrument céleste*). Sławny Kanclerz Swedzki Ozenstyern, w myślach swoich powiedział niegdyś o muzyce: „Że z pomiędzy wszystkich ziemskich roskoszy, jedną ją tylko śmiano umieścić w Niebie.“ Do tego zdania dodaćby jeszcze można: „Iż, ze wszystkich instrumentów samą jedynie arfę dano w ręce aniołom.

— *Z Warszawy.* —

Hrabia Alex. Fredro znowu wzbogacił literaturę sceniczną, napisaniem dwóch oryginalnych Komedyj, jedna w 4 aktach *Przyjaciele*, a druga 1aktowa: *Nikt mnie nie zna.* Będą wystawione na scenie warszawskiéj.

W nowym Roczniku Instytutów religijnych i edukac: umieszczono, że w całém Królestwie Polskiém jest Kościołów Katedralnych 9. Kollegijat 6. Parafijalnych 1919, prócz filijalnych i innych oddzielnych. Seminaryjów XX. świeckich, główne 1, Dyjecezalnych 13. Domów dla wysłużonych Xięży świeckich 3. Klasztorów i Zgromadzeń z kościołami, płci męskiéj 154, żeńskiéj 26. Wszystkie Dyjecezyje dzielą się na 151 Dekanatów. Prócz tego do Instytutów krajowych liczone są 2 kościoły w Rzymie, będące od dawna własnością Narodu Polskiego. Ludność Katolicka obojéj płci w parafijach zamieszkała, wedle ostatnich podań Plebanów przechodzi w ogólności dusz 3,300,000.

— *Z Niemiec.* —

Pani Katalani daje teraz koncerta nawet w mniejszych miastach nadreńskich, zawsze miewa wielu słuchaczów i cieszy się nieustannemi oklaskami.

— *Z Francyi.* —

P. Wilmen pracując w Paryżu oddawna nad dziełem: *Historyja nad rządem Grzegorza VII.* przedał rękopism księgarzowi Didot, za który wziął 10,000 franków; pierwszy tom wkrótce wyjdzie z druku.

— *Z Angiii.* —

Pan Witkok mechanik wynalazł osobliwszy instrument muzyczny, jest to fortepian, który gra różne sztuki bez pomocy człowieka!

W Dzienniku *Morning-Herald* czytamy, iż pewna nieszczęśliwa i łachmanami zaledwie pokryta niewiasta, żądała ułatwienia sposobności powrotu do rodzinnego jéj miejsca. Uskutecznione śledztwo dowiodło, iż udzielone sobie miała najlepsze wychowanie i że była wdową po Baronie polskim Uplauskim. Uwiadomiona władza, iż ojciec jéj P. Ejre, były Pułkownik angielski, mieszkał w Londynie, wezwała go. Stawił się przed nią 70letni starzec, bolejąc, iż jego córka zmusiła go do stawania przed policyjnym urzędem. Gdy go wzywano, ażeby wsparł jéj niedolę, oświadczył, iż sam najwyższéj doznawał nędzy, oddawna już chlebem i mlekiem żyjąc. Okazało się, że, mimo tego, ma prawo do 50,000 f. s. (2,100,000 złp.), które mu dziś krewni zaprzeczają. Właściwa władza oddaliła strony; poleciwszy nieszczęśliwą Towarzystwu miłosierdzia.

Redaktor, Mikołaj Michalewicz. — Druk, Piotra Pillera.